

Zagubieni przewodnicy

9 listopada 2022

Gdzie wszyscy mówią to samo, tam niewiele się myśli.

Zastanawia, dlaczego żaden polski parlamentarzysta, łącznie z socjalpartiotami, nie głosował przeciwko „Ustawie o obronie ojczyzny”. Narzuciła ona sprawującym władzę obowiązek wydatkowania 3 proc. PKB na obronę, czyt. na zbrojenia.

Mamy tu do czynienia z brakiem samodzielnej analizy sytuacji i uległością wobec jedynie słusznej opinii. Ruchem myśli kierują wodzireje: domniemani mężowie stanu, medialny komentariat, czytający w cudzych myślach geopolitycy i przebrani za ekspertów byli wojskowi. Do tego dochodzi przekręt na „patriotę” – ulubiony szantaż soldateski, której w kraju przewodzi PiS i jego minister wojny.

Sprawa dotyczy konkurencyjnych wydatków ze wspólnej kasy. O tym mówi znany dylemat rządzących: masło czy armaty. Nie chodzi o to, by lekceważyć bezpieczeństwo, lecz o to, by je zapewnić po możliwie niskich kosztach finansowych i ekologicznych. Dlatego trzeba dyskutować, by ukazać bogate uwikłania zarówno przyczyn obecnego kryzysu, wywołanego bezpośrednio agresją Rosji na Ukrainę, ale także rozległych jej konsekwencji.

Wąziutką strużką, obok głównego nurtu, płynie bardziej wyważona refleksja. Jest ona dyktowana, po pierwsze, troską o ład międzynarodowy, oparty na możliwie małym arsenale militarnym o charakterze defensywnym. Po drugie, troską o chaos, jaki niesie ze sobą coraz szybciej narastający kryzys planetarny. Obrona przed kryzysem wymaga szerokiej współpracy wszystkich narodów, na początku zapewne w gronie G-20.

Przewodnikami tej refleksji, powściągającej ducha wojny, są znani amerykańscy realiści H. Kissinger i J. Mearsheimer.

Wzrost nakładów na zbrojenia kosztem elementarnych potrzeb, zwłaszcza globalnego Południa, nazwał szaleństwem papież Franciszek. W Polsce niewielu odważa się iść pod prąd militarnego wzmożenia głównego nurtu. Tym bardziej że blisko 95 proc. polskiego społeczeństwa sądzi, że inwazja na Ukrainę jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa kraju. Ale tylko idąc pod prąd, można dotrzeć do źródła. Dlatego warto śledzić refleksję profesorów: Grzegorza Kołodki, Stanisława Bielenia czy pisującego na łamach „Przeglądu” Piotra Kimli. Potwierdzają oni wszyscy istotę wolności słowa. Nie polega ona przecież na powielaniu obiegujnej opinii, zwykle uproszczonej, dyktowanej lękami albo patriotycznym frazesem. Polega ona zaś na obowiązku życzliwego wysłuchania argumentów przeciwnych, burzących jedynomyślność, bo ta jest tylko warunkiem skutecznej propagandy. I o to chodzi, żeby propagandę patriotyczną min i póź – zastąpić debatą na argumenty.

Zobaczmy, nad jakimi ważnymi przesłankami decyzji o strategii obrony (dlaczego „obrony”, czyżby kraj stał się obiektem agresji) ojczyzny posłowie przechodzą do porządku dziennego.

Fałsz pisowskiej doktryny wojennej

Objawił światu nową doktrynę wojenną kraju ówczesny prezydent Lech Kaczyński na wiecu w Tbilisi. Był to gorący czas konfliktu rosyjsko-gruzińskiego. Według niej imperializm rosyjski wtedy dosięgał Gruzji, potem ofiarą będzie Ukraina, następnie państwa bałtyckie. Przyjdzie w końcu kolej na kraje Europy Centralnej, najpierw Polskę. Ani autor doktryny, ani jej wyznawcy nie potrafią wytłumaczyć, dlaczego ekspansja Rosji miałaby mieć charakter terytorialny poza obszarem Ukrainy. Czyżby Polska miała z Rosją jakieś sporne kwestie terytorialne czy też problemy z mniejszością rosyjską w Polsce albo polską w Rosji? Czyżbyśmy nie dostrzegali różnicy między położeniem na mapie i globusie Ukrainy i Polski?

Rola Krymu ma u podstaw jedyny ciepłowodny port dostępny Rosji

– Sewastopol. Ponadto, Nizina Środkowoeuropejska ma na granicy rosyjsko-ukraińskiej ponad trzy tysiące kilometrów, a jej równiny biegną do samej Moskwy i dalej, w głąb kontynentu (szczegóły w książce T. Marshalla, „Więźniowie geografii”, Warszawa 2017). To „miękkie podbrzusze” Rosji. Co prawda, geopolityka stała się po drugiej wojnie światowej „intelektualną trucizną”, jednak tylko częściowo człowiek przestał być więźniem geografii. Niestety, w polityce mocarstw pozostały fundamenty „architektury geopolitycznej”.

Rzadko przebija się głos drugiej strony. Zaginęła gdzieś zasada równego i niepodzielnego bezpieczeństwa stron. Dominuje przekonanie, że to Rosja rozciąga militarną kontrolę nad planetą, budując sieć baz wojskowych. Na dodatek, posiada hipersoniczne pociski i rakiety mogące niszczyć amerykańskie lotniskowce. Ale w istocie śmierć i pożoga na Ukrainie oglądana w telewizji uprzytamnia każdej i każdemu, do czego prowadzą zbrojenia, imperializm i traktowanie relacji międzypaństwowych w kategoriach potęgi militarnej. Niestety, kto buduje „pierścień bezpieczeństwa”, kto uzbraja fort Polanda u granic rywala (wroga?), ten przesuwą się w kolejce do niszczycielskiego ataku. Prawdziwy dylemat bezpieczeństwa. Ale jest jeszcze inny ważny dylemat.

Masło i zdrowie czy armaty

Nie słyszy się w mediach, co oznacza w praktyce przekazywanie 3 proc. PKB na zbrojenia. W spodziewanych realiach budżetu na 2023 r. polski rząd będzie musiał zwiększyć wydatki z 33 mld złotych do 100 mld (szacunek G. Kołodki). Powstaje pytanie, kosztem jakich wydatków: na zdrowie, edukację, zbiorową komunikację? Może rodzice będą czuli się bezpieczniej, oglądając „narodową” telewizję, ale czy będą zdrowsi, czy jakość nauczania ich dzieci będzie odpowiednia do wymagań współczesności w bieda-szkółach.

No dobrze, można dalej powiększać dług publiczny. Ale warto to

robić, by np. dokonać reindustrializacji peryferyjnej gospodarki, która na razie ma do zaoferowania głównie tani montaż. To wymaga nie zakupów w magazynach amerykańskich czy koreańskich koncernów zbrojeniowych. To wymaga publicznego wsparcia inwestycji w nowoczesny przemysł naukopochodny, np. w przemysł ekologiczny, genomikę, biotechnologie, nanotechnologię, robotykę, nawet w e-samochody.

Szukanie analogii do lat poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej jest anachronizmem. Rosja nie potrzebuje ani czarnoziemiu Zamojszczyzny, ani polskiego węgla, ani przestrzeni życiowej. Natomiast potrzebuje klientów rozbudowany ponad miarę przemysł zbrojeniowy różnych krajów. Wydatki polskiego państwa są dochodami, i to całkiem sporymi, zagranicznych koncernów zbrojeniowych. NATO też potrzebuje racji istnienia.

Dlaczego o tym nie dyskutujemy? Powierzamy decyzję różnym Płaszczakom – militarnym jastrzębiom globu, zwłaszcza angloamerykańskim. Tym bardziej że wkrótce pojawią się ofiary śmiertelne, ale ...zmian klimatu. Wzrost temperatury o 1 stopień Celsjusza powoduje bowiem 10 proc. spadek zbiorów najważniejszych zbóż, czyli pszenicy, ryżu i kukurydzy. Warto o tym pomyśleć na bogatej Północy, która jest winna 92 procentom szkód związanych ze zmianami klimatu, z kolonizacją atmosfery. Już teraz 40 proc. mieszkańców planety nie ma dostępu do czystej wody pitnej. W związku ze wzrostem populacji do 9,5 mld i kurczeniem się areału upraw, w nadchodzących dekadach ten sam skrawek ziemi będzie musiał nakarmić zamiast 27 aż 43 osoby.

Konieczne będą dalsze postępy w biotechnologii rolniczej (m.in. w dziedzinie „podkręcenia” fotosyntezy). Takich inwestycji potrzebują i ludzie (z wyjątkiem zbrojeniówki i soldateski), i planeta. Na dodatek, powrót Niemiec do zakupów zbrojeniowych na sumę 200 mld euro dopiero uczyni z nich europejskiego zastępcę amerykańskiego szeryfa. Dotąd mieli oni tylko nadwyżki z handlu produktami swojej konkurencyjnej i

największej gospodarki. Przez wiele dekad będzie ona wciąż skazana na w miarę tanie węglowodory, nie na potrzeby swojej energetyki, ale głównie jako źródło surowców do produkcji nawozów, plastiku, topnika, smarów i różnych procesów przemysłowych.

Kres wojny z planetą

Wydatki na zbrojenia wynoszą już 2 bln dolarów. Gdyby je ograniczać do broni defensywnych i drogą porozumień redukować ogniska napięć chociaż między wielkimi – wtedy dało by się zaoszczędzić co najmniej bilion dolarów.

Nieszczęście polega na tym, że amerykańska gospodarka nie ma problemu z kapitałem pieniężnym. Płynie tutaj nadwyżka z całego świata, by szukać bezpieczniejszej lokaty w obligacjach państwa amerykańskiego, w „zielonych”. Amerykanie mogą dalej oferować światu przełomowe innowacje, jak obecnie w produkcji półprzewodników. Korzystają ze szczęśliwego zbiegu kilku okoliczności: ogromnego venture capital, pochodzącego z dochodów, jakie przynoszą platformy cyfrowe, na dodatek wyprane w rajach podatkowych.

Posiadacze tego kapitału liczą na ogromne zyski od innowacji „zielonego kapitalizmu”. Dlatego wspierają innowacje i start-upy licząc na to, że staną się czempionami nowych oszczędzających planetę technologii. Dużą rolę ogrywają uczelnie przyciągające najzdolniejszych z całego świata oraz zaplecze technologiczne Doliny Krzemowej.

To rozwiązanie typowe dla amerykańskiego modelu kapitalizmu – upychać gdzie się da nadmiar kapitału pieniężnego i innowacyjnych produktów, tym razem zbrojeniówki. Ale upychać przecież po to, by powracały w postaci dochodów i zysków. Wspieranie tego procederu kupnem różnego rodzaju środków walki to odwlekanie zasadniczej przebudowy kapitalizmu, jaki znamy, a więc gospodarki wzrostu i masowej konsumpcji. Tym samym to wspieranie dalszego zużycia surowców, energii, minerałów,

dalszej kolonizacji atmosfery Jedyne co da się zaoszczędzić to wydatki na podróżę na Księżyc. Będzie on niedługo dostępny na miejscu i to dla każdego. I właśnie na inwestycje opóźniające, a nie przyśpieszające, granice destrukcji planety warto przeznaczyć zaoszczędzony bilion: na kontrolowaną reakcję jądrową, na poszukiwanie nadprzewodników, które by mogły spełniać swoją rolę w temperaturze pokojowej, na komputery kwantowe, na instalacje bezpośredniego wychwytu dwutlenku węgla z atmosfery i składowana go w szczelinach bazaltowych skał, gdzie ulega mineralizacji.

Są ogromne szanse, by po raz kolejny potwierdziła się obserwacja-rada Henry'ego Kissingera: zarówno bycie wrogiem, jak i przyjacielem Ameryki obciążone jest ryzykiem. Można na niej polegać, ale można też polec.

Autorstwo: Tadeusz Klementewicz

Źródło: Trybuna.info